

Ja i oni

Głęboki wdech.
Oczy zamknięte.
Jedna myśl.
Delikatne drganie kącików ust.
Wyrrrrrrrrrrdech.
Świecezka zgała.

Patrząc jeszcze chwilę wcześniej na tę jedną jedyną zapaloną świeczkę, która drżała w obawie przed tym, co nieuniknione, nie czułam się źle. Nie czułam strachu ani niepewności. Czułam... mocniejsze bicie serca. Wewnętrzny spokój. Nadzieję. Wiarę.

Jedna świeczka. Samotna, a jednak niczym delikatne światełko w tunelu, które wyznacza zagubionym drogę w mroku. Kto by pomyślał, że będę ją kiedyś zdmuchiwać? Że to symboliczne światełko w tunelu nie będzie mi już potrzebne, bo będę doskonale wiedzieć, dokąd zmierzam i z kim chcę tam dotrzeć? Kto by pomyślał, jeszcze niedawno, dokąd zaprowadzi mnie ta moja Niezgubkowa droga, tak okropnie usłana kamieniami?

Ja z pewnością nie. A mimo wszystko dziś tu jestem – pełna wiary i nadziei. Pełna planów, marzeń i celów, których wreszcie się nie boję. Jestem i wiem, że to nie jest jedyna świeczka, którą przyjdzie mi zdmuchiwać, a co w tym wszystkim najważniejsze – nie będę jej zdmuchiwać sama. Oni będą przy mnie i to oni, zamiast tej świeczki, oświecą ten tunel. Ich blask wypełni mrok i pozwoli przejść przez liczne mgły. Będą stać obok, a ja przestanę czuć z tego powodu dyskomfort. Nie będę już pragnęła zniknąć i zatopić się w anonimowości. I nigdy więcej nie będę już tęsknić za byciem niewidzialną.

– Nie wierzę, że minął już rok – powiedział Paweł ze wzruszeniem.

– Bo... to nie był zwykły rok – odpowiedziałam, śledząc coraz bardziej rozmywającą się w powietrzu smugę dymu pozostałego po palącej się świeczce.

– Bo nie dotyczył zwykłych ludzi – wtrąciła Anieli, puszczając do mnie oczko. – Niezgubkowi nie są zwykli, a ja zawsze powtarzałam, że ty jesteś bardziej swoja, niż ci się wydaje.

Uśmiechnęłam się.

To prawda. Jestem swoja. Jestem... i dobrze mi z tym, choć jeszcze rok temu, gdy udało nam się wreszcie znaleźć dom marzeń, w życiu bym nie pomyślała, że ta przeprowadzka zmieni tak wiele.

– Mamo! Powiedz temu głupolowi, żeby mi oddał pamiątnik! – krzyknęła Julia, wpadając prosto na mnie.

– A co, boisz się, że powiem Piotrkowi, co przeczytałam? – zaśmiał się Wojtek, trzymając wysoko różowy pamiątnik.

– Sekret za sekret. – Julka odbiła piłeczkę. – Odważysz się?!

– Ej! Tak nie można! Mamo! Powiedz jej coś!

– Hania... kazała psijść... i powiedzieć że... że... że... dzidzie już nie śpią i płacią! – wtrąciła zasapana Ola.

– Nawet w takiej chwili... – westchnął Paweł z udawanym grymasem. – Karola, zrób coś z nimi, bo ja zaraz zwariuję...

Tornado nadeszło. Większe i potężniejsze niż zwykle, lecz tym razem zamiast siał zniszczenie, budowało fundamenty. Bo ta rodzina przez ostatni rok powiększyła się nie tylko o te dwa maleńkie serduszką, które są rodowitymi Niezgubkowymi. Powiększyła się o ludzi, którzy mieli odwagę stać przy nas, gdy los zdawał się obracać przeciwko nam.

Mówią, że rodziny się nie wybiera. Ale ja wybrałam. A może to ona wybrała mnie? Ci wszyscy ludzie... to moja rodzina. Babcia Zosia, co widziała i wiedziała więcej. Mistrzynie ploteczek – Aniela. Jadzia z tymi swoimi tipsami i przesolonymi pierogami, Zbyszek w ubłoconych świńskich kaloszach, Włodek, który inteligencją nie grzeszy, za to dobrym sercem bije na głowę niejednego magistra, a nawet ten Kazik ze swoją wiecznie napoczętą butelką. To moja rodzina. Ola, Hania, Piotrek i pozostali mieszkańcy tego dziwnego miejsca również. Nawet Weroniczka, na której uśmiech czekam zawsze jak na ukojenie. To moja rodzina. Choć nie łączą nas więzy krwi, łączy nas przeszłość. Łączy nas to, co *tu i teraz*. Łączy nas wreszcie... wspólna przyszłość. Tego jestem pewna.

Ci wszyscy ludzie, otaczający mnie w tym przedziwnym miejscu, są tak przeróżni, a mimo wszystko powiązani ze sobą niewidzialną, lecz niezwykle trwałą liną. Są jak drzewa w lesie – choć każde z innego gatunku, rosną razem, tworząc wspólnie coś większego. Splecione korzeniami chronią się wzajemnie przed upadkiem. Dają schronienie zwierzętom i to właśnie razem, stojąc jedno obok drugiego, przetrwają niejedną suszę i niejedną burzę.

A ja... choć jeszcze do niedawna nie byłam stąd, dziś jestem jedną z nich. Chociaż nasionkiem mojego drzewa wiatr targał kilometrami, w końcu zostawił mnie właśnie na tym wzgórzu, bym mogła zapuścić korzenie... Nawet nie zauważyłam, kiedy te moje maleńkie, nieśmiało wydłużające się korzonki splotły się z ich korzeniami. Stałam się częścią tego wyjątkowego lasu i już nie boję się nawałnicy, bo wiem, że znajdę w nich oparcie, gdy rozszalały wiatr będzie szarpać moimi gałęziami.

Ale bycie częścią lasu zobowiązuje. Bo ten wiatr, który jeszcze wczoraj uderzał w moje konary, jutro przecież może zawiać w innym kierunku. I wtedy to ja będę musiała stać się oparciem. To moje korzenie będą musiały podtrzymać cudze. Czy już na tyle splotły się z innymi, by dać radę i stanąć na wysokości zadania? Wierzę, że tak. Bo życie udowodniło mi już niejednokrotnie, że samotne drzewa łamią się najłatwiej, a prawdziwą siłą jest właśnie las. Niezgubkowe wilki też nie żyją samotnie. Tworzą watahę. I wcale nie potrzebują symbolicznego paktu, by trwać przy sobie na dobre i na złe. One po prostu są. I zawsze będą.

Co rujnuje, to... buduje

Ostatnie miesiące mnie zrujnowały.

Zdecydowanie nie były łatwe. Można nawet śmiało powiedzieć, że były bardzo trudne. Najtrudniejsze w moim życiu. Wypadek Wojtka, walka o jego życie, jeszcze trudniejsza rehabilitacja, mroki przeszłości Pawła, własne lęki, bezradność i wyrzuty sumienia, a do tego wszystkiego jeszcze Julka, którą zawiedliśmy, i wiele innych kwestii, mniej lub bardziej pomijanych każdego dnia. Od pierwszych jesiennych deszczy czas zaczął płynąć jakoś inaczej.

Na tym oczywiście nie koniec, bo przecież nie mogłoby być za prosto, prawda? Do tego całkiem pokaźnego już pakietu doszły moje problemy z sercem i ciśnieniem. Zagrożenie ciąży i walka o jej utrzymanie do czasu, aż maluchy będą już mogły bezpiecznie przyjść na świat. Prawie miesiąc leżenia w łóżku z obawą o każdy ruch i... jednoczesną obawą o brak

jakiegokolwiek ruchu. Pamiętam, jak za oknem padał styczniowy śnieg, a ja odhaczałam kolejne dni w kalendarzu. Nie zdążyłam odhaczyć wszystkich. Pamiętam krew. Cesarskie cięcie na cito. Inkubator. Strach. Bezradność. Ból.

Ostatnie miesiące mnie jednak też zbudowały.

Z uporem maniaka rozsypywały wciąż tę moją niemal ukończoną układankę, jakby próbując mi pokazać, że – mimo mojej prawie stuprocentowej pewności, że jest prawidłowa – coś nadal układam nie tak i trzeba zacząć od nowa. Choć wtedy wywoływało to u mnie frustrację, łzy, niechęć i zwątpienie, dziś wiem jedno: niektóre puzzle da się ułożyć właściwie tylko wtedy, gdy ma się odwagę pozwolić im rozsypać się na kawałki. Czasem bowiem coś musi się rozpaść, by jego elementy mogły w końcu znaleźć swoje prawidłowe miejsce.

Ja ostatnio rozpadałam się na kawałki wiele razy i wiele już razy moje serce krzychało, że dłużej tak nie może. Wciąż jednak tu jestem. Posiniaczona, ale też silniejsza. Znacznie silniejsza. Bo czasem właśnie, układając lustro swojej duszy, trzeba stłuc odbicie, by móc dojrzeć prawdę skrywaną głęboko za pozorami. Jestem tu, bo wreszcie zrozumiałam, że deszcz wcale nie pada po to, by niszczyć – to dzięki niemu rośliny rosną, rozwijają się i żyją. To dzięki niemu są w stanie przetrwać. I ja też przetrwałam. Przetrwałam niejedną nawałnicę i jestem tu dziś silniejsza i gotowa na rzeczy, na które nigdy wcześniej gotowa nie byłam. A teraz, kiedy za oknem wreszcie na dobre zagościła wiosna, ja też powoli zaczynałam wracać do życia.

– Silniejsza? – odezwał się Paweł, zaglądając mi przez ramię do pamiętnika. – I to z tej siły ostatnio rozplakałaś się, kiedy wystygła ci herbata?

– No wiesz co? Nieładnie tak zaglądać ludziom w notatki! – Parsknęłam śmiechem.

– Nieładnie to by było po kryjomu. – Paweł się wyszczerzył. – A ja się wcale nie kryję!

– Bo i nie masz po co! Nic, co przeczytasz, chyba by cię już nie zdziwiło!

– Jedyne, co mnie zdziwi, to patrzeć po tym wszystkim, jak pijesz gorącą herbatę!

– Teraz, Paweł, to ja będę pić już same gorące. Zobaczysz.

Fakt, za mną już stosy kubków z zimną herbatą. Wiele też łez i nieprzespanych nocy. Jeszcze więcej strachu, niepewności, bólu i bezradności. Dziś jednak wiem, że to wszystko miało sens. Nic nie dzieje się bez przyczyny i każde doświadczenie życiowe, nawet to najtrudniejsze dla matczynego serca, czegoś nas uczy. Ja przez ostatni rok nauczyłam się wiele. Stałam się silniejsza jako człowiek i wreszcie mam odwagę, by to wykorzystać.

Prawie miesiąc leżenia w łóżku z wielkim brzuchem był dla mnie ogromnym wyzwaniem, zwłaszcza że Wojtek wciąż potrzebował pomocy, Paweł musiał utrzymać nas wszystkich sam i jeszcze zadbać o dom, a Julia się uczyć i jakoś w tym wszystkim funkcjonować. W tym trudnym okresie bardzo pomogli nam mieszkańcy Niezgubki, a szczególnie oczywiście Aniela i Jadzia, ale też Włodek, Zbyszek, Kazik oraz wiele innych osób, które wspólnie zaangażowały się, by ułatwić nam przetrwanie codzienności.

Komplikacje przy cesarskim cięciu i znaczna utrata krwi mocno odbiły się na mnie fizycznie, ale to znów nie ciało najbardziej ucierpiało, a psychika, która musiała mierzyć się z uzasadnioną obawą o los wyczekiwanym serduszek, nad którymi pieczę przejął za mnie inkubator.

Nasze dwa serduszka. Dwa małe, bezbronne serduszka, którym nie było dane bezpiecznie doczekać do końca ciąży. Zosia i Marysia. Niesamowicie silne, bo przetrwały same w momencie, w którym naturalnie powinny jeszcze być zdane na moją opiekę. Najsilniejsze,

bo miały siebie nawzajem. Niezlomne, bo – gdy przewrotny los znów postanowił się do nas szyderczo uśmiechnąć – walczyły nie tylko o siebie, ale i o mnie. Jedno serduszko znacznie mocniejsze od drugiego, jednak oba bijące we wspólnym rytmie, wzajemnie podtrzymując się przy życiu i jednocześnie podtrzymując przy życiu mnie samą.

Początkowo lekarze rozdzielili je na dwa inkubatory. Marysia była słabsza i potrzebowała dużo więcej uwagi. Jej stan był gorszy niż siostry i to właśnie o jej życie lekarze obawiali się najbardziej. Choć dziewczynki były w tych inkubatorach oddalone od siebie, gdy jedna zaczynała płakać, zaraz odzywała się druga i na odwrót. Chociaż obie dzielnie walczyły, prognozy nie były najlepsze, zwłaszcza dla Marysi, która gasła z dnia na dzień. W zasadzie dopiero przypadek ją uratował. Awaria sprzętu i braki szpitalne zmusiły lekarzy do podjęcia decyzji, by umieścić dziewczynki razem w jednym inkubatorze. To był strzał w dziesiątkę. Wtedy okazało się bowiem, że przede wszystkim to siebie nawzajem potrzebowały najbardziej i to właśnie od momentu, gdy pozwolono im znów być blisko, zaczęły radzić sobie coraz lepiej.

Gdy patrzyłam na nie w inkubatorze, jak usilnie poszukują wzajemnej bliskości, zrozumiałam, czym jest prawdziwa siła. Zrozumiałam, że to nie tylko nasza wewnętrzna moc działania przeciw światu, ale też ta cicha obecność innych, którzy nie pozwalają nam upaść, a nawet jeśli jednak przy nich upadniemy – pomagają nam się podnieść lub kładą się na ziemi obok nas, by z nami się pośmiać z tego świata lub poprzeklinać na niego. Zosia i Marysia nie musiały się tego uczyć. Urodziły się, wiedząc to doskonale, podczas gdy mnie zrozumienie tego zajęło prawie czterdzieści lat. I to dzieci mają się uczyć od dorosłych, tak?

Gdy wreszcie lekarzom udało się ustabilizować mój rozbity do granic organizm i jednocześnie wygrać walkę o bliźniaczki, poczułam gdzieś głęboko, że to początek nowego, pięknego rozdziału. Pewnie nie takiego łatwego, w końcu kamieni w tej Niezgubce to akurat nie brakuje, ale pięknego. Zdecydowanie pięknego. Pięknego, bo wspólnego. Wreszcie wspólnego. Ja, Paweł, Wojtek, Julia, Zosia i Marysia. Wszyscy razem w miejscu, które nareszcie możemy nazywać domem.

Na tym naszym cudownym zadupiu, gdzie wścibscy ludzie okazali się najcenniejszym wsparciem, a złowrogie wilki strażnikami prawości, wreszcie mogliśmy cieszyć się swoją obecnością tak naprawdę. W tym właśnie miejscu, gdzie spektakularne wschody i zachody słońca można podziwiać, siedząc w pierwszym rzędzie, mogliśmy być po prostu szczęśliwi. Tam, gdzie drzewa skrywają niejedną tajemnicę i opowiedziałyby niejedną historię, mogliśmy po prostu cieszyć się rodzinną codziennością i cicho marzyć, że kiedyś opowiedzą i naszą. I że ta historia, w przeciwieństwie do wielu wcześniejszych, będzie miała dobre zakończenie. W końcu przecież, jak powiedziała babcia Zosia, to my mieliśmy być szansą na odrodzenie. To Julia przerwała spiralę. Wojtek wybudził się ze śpiączki, bliźniaczki przeżyły – teraz pora już tylko na wyczekiwany spokój i szczęście. I ciepłą herbatę. Raz na zawsze koniec z zimnymi herbatami!

Siedząc na kocu na wzgórzu pod starą lipą, patrzyłam z uśmiechem na przekomarzających się niedaleko Julkę i Wojtka. Zosia i Marysia spały w gondoli, pilnowane przez samozwańcze opiekunki Kirę i Lunę, a Paweł malował piękne koniki na biegunach, które wreszcie udało mu się ukończyć. Chwilo, trwaj, można by rzec. Chwilo, trwaj!

– Mamo! Powiedz jej, żeby oddała mi mojego *Harry’ego Pottera*! – Krzyk wbiegającego na wzgórze Wojtka wyrwał mnie z rozmyślań.

– Ale on go teraz nie potrzebuje! Czyta inną część! – denerwowała się Julka.

– Ale książki są moje! Na urodziny je dostałem! Nie możesz ich brać!

– Mamoooo, powiedz mu coś!

– Ej! To moje książki! Jej coś powiedz!

Chwilo, trwaj, mówiłam...?

– Czy wy nie możecie chociaż jeden dzień tak normalnie, bez kłótni?! – nie wytrzymałam.

– Nie! Bo ten głupol zabiera mi książkę!

– Bo to MOJA książka, no!

– Ale ja ją czytam! Mamo, powiedz mu, że ja ją czytam!

W tle usłyszałam postękiwanie Marysi. Zaraz dołączyła do niej Zosia. Paweł przewrócił oczami z tą swoją udawaną irytacją. Cudownie. PO PROSTU CUDOWNIE.

– Widzicie? Widzicie, co narobiliście? – zdenerwowałam się.

– To nie ja! To ona!

– NIEPRAWDA!

Maryśka rozplakała się na całego. Zośka stwierdziła, że potowarzyszy siostrze, a ja... zamiast wkurzyć się jeszcze bardziej, zaśmiałam się sama do siebie.

Zaśmiałam się, bo cóż innego mi pozostało? *Here we go again!*